



GIOVANNI BOCCACCIO

---

**Dekameron, Dzień  
szósty**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

---

GIOVANNI BOCCACCIO

DEKAMERON

# *Dzień szósty*

TLUM. EDWARD BOYÉ

# Spis treści

Opowieść pierwsza. Zręczna odpowiedź . . . . .	5
Opowieść druga. Piekarz . . . . .	5
Opowieść trzecia. Falszywa moneta . . . . .	8
Opowieść czwarta. Jednonogi żuraw . . . . .	9
Opowieść piąta. Szpetny wygląd . . . . .	10
Opowieść szósta. Dowód szlachectwa . . . . .	11
Opowieść siódma. Niewierna żona . . . . .	12
Opowieść ósma. Dobra rada . . . . .	14
Opowieść dziewiąta. Guido Cavalcanti . . . . .	15
Opowieść dziesiąta. Brat Cipolla . . . . .	16

Księżyc pośrodku niebios utracił już swój blask i nowe światło rozjaśniło wszystkie zakątki ziemi naszej, kiedy wstała z łoża królowa i całą kompanię zwołać kazała. Powolnym krokiem zszedłszy z wzgórza, przechadzali się po rosie, tocząc różne rozprawy o tym i owym, bardziej lub mniej chwając dotychczasowe opowieści i śmiejąc się raz jeszcze z różnych przypadków, jakie w nich przytoczono. Aż gdy wreszcie słońce podniosło się wyżej i dopiekać poczęło, wszyscy zgodnie orzekli, że czas powracać; za czym zwróciwszy się ku domowi, stanęli tam niebawem. Stoły były już zastawione, wszędzie rozłożono wonne zioła i piękne kwiaty. Na rozkaz królowej zasiedli tedy<sup>1</sup> do posiłku, a gdy go w weselu spożyli, zanim jęli się czego innego, odśpiewali kilka ładnych, pełnych uroku piosenek. Następnie ten i ów poszedł się zdrzemnąć, a niektórzy zasiedli do szachów lub innych gier. Dioneo wraz z Laurettą poczęli śpiewać o Troilusie i Chryzejdzie. Tak przyszła pora, gdy zwykli zbierać się znów razem, więc na wezwanie królowej, jak codziennie, rozłożyli się dokoła źródła. I miała już królowa dać znak do rozpoczęcia pierwszej opowieści, gdy zaszło coś, co dotąd nigdy jeszcze się nie przytrafiło. Usłyszeli wszyscy zgiełk wielki, jaki w kuchni czyniły służki z pacholkami. Zawezwała tedy królowa marszałka, zapytując, co to za wrzawa i jaka jej przyczyna. Odparł, że kłótnia wybuchła między Liciską a Tindarem, ale powodu jej on sam nie zna, bo właśnie co dopiero nadszedł, aby ich uciszyć, gdy został do królowej wezwany. Poleciała tedy Eliza, aby natychmiast przysłano tu Liciskę i Tindara, a gdy ci zjawili się, zapytała ich o powód kłótni.

Gdy Tindar chciał na pytanie odpowiedzieć, Liciska, niewiasta już niemłoda i co się zowie pewna siebie, kłótnią rozgrzana, natarła na niego ze złością:

— Patrzcie, co za gbur! Mężczyzna, co waży się odzywać pierwszy tam, gdzie ja jestem! Daj mi mówić!

I zwracając się do królowej, rzekła:

— Pani, ten chłystek chce mnie uczyć, jaką była żona Sicofanta! Ni mniej ni więcej! Jak gdybym nie przestawała z nią nigdy, chce wmówić we mnie, że pierwszej nocy, którą Sicofante z nią spędził, jego junak Maczuga musiał siłą i przy krwi rozlewie wdzierać się do twierdzy w Czarnym Borze. A ja powiadam, że to łgarstwo, bo wszedł tam pokojowym trybem i ku wielkiemu zadowoleniu załogi. Ten zasię<sup>2</sup> kiep wierzy naprawdę, iż młode dziewczeczki są tak głupie, że tracą czas i czekają na zezwolenie ojca lub braci, którzy w sześciu przypadkach na siedem zwlekają trzy albo i cztery lata dłużej, niżby należało, aby je za mąż wydać. Dobrze by wyszły na tym, miły bracie, gdyby tak długo się ociągały! Bóg mi świadkiem — a wiem, co mówię, ilekroć się tak klnę — pomiędzy sąsiadkami moimi nie znam ani jednej, co by dziewczicą za mąż poszła. A także jeśli idzie o zamężne niewiasty, wiem dobrze, ile i jakich figłów płątają mężom swoim. Ten cymbał zaś chciałby mi dać poznać, czym są kobiety, jakbym się wczoraj narodziła.

Słuchając Liciski niewiasty zaśmiewały się do rozpuku, tak że można im było wyciągnąć wszystkie zęby. Królowa sześciokroć milczeć jej kazała, ale na nic to się zdało. Nie zatrzymała się wcześniej, aż powiedziała wszystko, co zamierzyła. A gdy wreszcie dobiegła końca, królowa ze śmiechem zwróciła się do Dionea:

— Dioneo, to spór dla ciebie stworzony! Dlatego, gdy skończymy nasze opowieści, musisz w tej mierze dać wyrok ostateczny.

Na co Dioneo odparł niezwłocznie:

— Pani, wyrok już wydany, bez dalszego przesłuchania drugiej strony. Ogłaszam, że Liciska ma słuszność, i mniemam, że jest tak, jak powiada, a Tindar jest bałwanem.

Usłyszawszy to, Liciska wybuchła śmiechem i obróciła się do Tindara:

— Nie mówiłam ci? Idź z Bogiem! Myślisz, że wiesz więcej ode mnie, ty, coś jeszcze oczu nie przetar!? Bogu chwała, nie żyłam ja na darmo, o nie!

I gdyby królowa niecierpliwym spojrzeniem nie zmusiła jej do milczenia, zabraniając mówić dalej i zgiełk czynić, jeśli nie chce kijem oberwać, nie lza<sup>3</sup> im byłoby dnia tego zając się niczym innym, jak tylko jej uwagę poświęcić.

Gdy słuchając rozkazu oboje odeszli, przykazała królowa Filomenie, by opowiadać zaczęła.

<sup>1</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>nie lza (daw.) — nie można. [przypis edytorski]

Filomena wesołym głosem mówi jęła<sup>4</sup>:

## OPOWIEŚĆ PIERWSZA. ZRĘCZNA ODPOWIEDŹ

*Pewien szlachcic obiecuje pani Oretcie, że gdy jego opowieści słuchać będzie, droga szybko jej minie, tak jakby na koniu jechała. Ponieważ jednak opowieść szlachcicowi nieskładnie idzie, dama prosi go, aby dalszą drogę piechotą odbywać mogła.*

— Jak gwiazdy są ozdobą nieba w pogodnej nocy, kwiaty na wiosnę ozdobą zielonych łąk, a liśćmi odziane drzewa wzgórz ozdobą, tak, miłe moje panie, dowcipne powiedzenia są chwalebnych obyczajów i pięknych rozmów okrasą. A ponieważ zwięzłość jest ich cechą, przeto tym bardziej przystoją one niewiastom niż mężczyznom, im mniej biogłowom wskazana jest gadatliwość. Przyznać trzeba, że czy to z powodu niedostatku kobiecego umysłu, czy dla szczególnej niechęci, z jaką do czasów naszych odnoszą się niebiosy, niewiele dziś tylko niewiast pozostało, a może i żadna taka się nie znajdzie, która by umiała we właściwej porze dowcipnie się odezwać albo jeśli dowcip usłyszy, zrozumieć go jak należy. Wstyd to niemały dla nas wszystkich. Ale ponieważ Pampinea dość już o tej materii powiedziała, nie myślę dłużej tym się bawić. Aby wam jednak pokazać, jak piękne są słowa takie, we właściwym czasie rzucone, pragnę wam opowiedzieć, jak pewna zacie urodzona pani w grzeczny sposób zmusiła do milczenia rycerza.

Słowo

„Przed niedawnym czasem żyła w mieście naszym szlachetna dama, słynąca z przytomności umysłu i wielkiej swady. Wszyscyście ją znali bądź osobiście, bądź ze słuchu. Ponieważ chlubne jej przymioty przykładem być mogą, powiem wam tedy, że o pani Oretcie, żonie pana Geri Spina, chcę mówić. Dama ta, gdy raz, podobnie nam, na wsi przebywała, wybrała się z wielu panami i paniami, będącymi u niej w gościnie, na przechadzkę w okolicę. Ponieważ dosyć daleko było do celu podróży, ku któremu towarzystwo zdążyło piechotą, odezwał się więc jeden szlachcic do pani Oretty:

— Pani, jeżeli zechcesz, to postaram się większą część tej długiej drogi, którą jeszcze mamy przed sobą, tak ci skrócić pewną ciekawą opowieścią, iż zapomnisz o zmęczeniu i będzie ci się zdawało, że drogę tę na koniu przebywasz.

— Nie tylko pragnę tego — odparła dama — ale proszę was bardzo o to, niezmiernie grzecznością waszą będąc zaszczycona.

Rycerz, który może też nie lepiej władał szablą niż językiem, rozpoczął natychmiast historię, która w samej rzeczy bardzo piękną była, aliści<sup>5</sup> w jego opowiadaniu nie najpiękniej wypadła. To samo słowo cztery lub sześć razy powtarzał, do już opowiedzianych rzeczy powracał wykrzyknikiem: »Nie, nie tak było!«, wątek przerywał, wreszcie nazwiska na opak wymieniał albo z sobą mieszał, nie mówiąc już o tym, że jego sposób wygłaszania ani charakterowi osób, ani przytaczanym wypadkom nie odpowiadał. Madonna Oretta, słuchając go, gorącym potem się oblewała i już ledwo dychać mogła, jak gdyby zasłabła albo i ostatnie oddać miała tchnienie. Wreszcie, nie będąc w stanie już wytrzymać dłużej i widząc, że rycerz zaplątał się i nie może się z tego wydobyć, zawołała żartobliwie:

— Panie, koń wasz okrutnie trzęsie, proszę tedy, abyście pozwolili mi zejść z niego.

Szlachcic, obdarzony, na szczęście, większą pojętnością umysłu niżli zdolnością opowiadania, uszczypek<sup>6</sup> zrozumiał i obrócił rzecz całą w żart i śmiech; po czym z chlubną zręcznością przerwał zaczętą, a źle opowiedzianą historię, do innych przechodząc opowieści”.

## OPOWIEŚĆ DRUGA. PIEKARZ

*Piekarz Cisti zręczną swoją odpowiedzią pana Geri Spina bacznym czyni na niestosowność jego żądania.*

<sup>4</sup>jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>uszczypek — dziś: uszczypliwość, przytyk. [przypis edytorski]

Wszyscy mężczyźni i kobiety chwalili żywo przymówkę pani Oretty, po czym królowa skinęła na Pampinę, a ta w te słowa zaczęła:

— Kochane przyjaciółki! Próżno siliłam się dotychczas w myślach moich rozstrzygnąć, na kogo więcej narzekać należy, czy na naturę, gdy piękną duszę w niekształtnym ciele zamyka, czy na los, gdy ciało, piękną duszą obdarzone, do podłego zawodu zmusza. Ten ostatni przypadek zaszedł właśnie z jednym z rodaków naszych, piekarzem Cisti, nie mówiąc o wielu innych. Człękowi temu, obdarzonemu wielkimi przymiotami umysłu, los piekarzem być kazał. W podobnych przypadkach przeklinałabym zarówno los, jak i naturę, gdybym nie wiedziała, że natura we wszystkich rzeczach mądrą się okazuje, a los, jakkolwiek głupcy go ślepym nazywają, ma tysiąc oczu. I zdaje mi się nawet, że obaj ci władcy ludzkiej doli w takich razach bardzo mądrze postępują. Ludzie, niepewni przyszłości i obawiający się przypadku, najdroższe rzeczy swoje dla bezpieczeństwa w najbardziej niepozornym miejscu domu swego ukrywają, aby w stosownej chwili nienaruszonymi je znaleźć, bowiem niepozorna kryjówka lepiej ich strzegła, aniżeli to najokazalsza świetlica zdołała była uczynić. Tak samo los i natura największe skarby ukrywają nieraz w cieniu wzgardzonego rzemiosła, ażeby kiedy potrzeba, z tym większą świetnością i blaskiem na jasność je podać. Na dowód tego chcę wam opowiedzieć małą powiastkę o piekarzu Cisti, jak oczy otworzył panu Geri. Powiastka ta właśnie przy wspomnieniu o pani Oretcie na myśl mi przyszła, pan Geri bowiem był mężem tej damy.

Los

„Owóż gdy papież Bonifacy w sprawach bardzo ważkich kilku znacznych panów w poselstwie do Florencji wyprawił, stanęli oni w domu pana Geri Spina<sup>7</sup>, cieszącego się wielkim zaufaniem papieża, i z nim w różnych sprawach, papieża dotyczących, się naradzali. Pan Geri, nie wiem już z jakiego powodu, wyruszał co dzień rano z posłami i przechodził w ich towarzystwie koło kościoła Santa Maria Ughi, obok którego Cisti piekarnię posiadał, sam w niej robotą się zatrudniając. Fortuna dała mu w udziale bardzo skromne rzemiosło, jednakże do wszelkich dostatków dojść mu przez nie pozwoliła. Dlatego też Cisti, nie pragnąc zajęcia swego na jakiegokolwiek bądź inne zamieniać, na dostatniej, a nawet okazałej żył stopie. Słynął zwłaszcza z posiadania najlepszych białych i czerwonych win, jakie we Florencji i okolicy znaleźć było można. Otóż cny ten rzemieślnik, widząc codziennie pana Geri, przechodzącego z posłami koło jego piekarni, pomyślał, że przy tak wielkim skwarze nie byłoby od rzeczy białym winem ich uraczyć i że nie powinni by tego źle przyjąć. Wspomniałszy jednak przy tym na różnicę stanu pomiędzy nim a panem Geri zachodzącą, uznał, że rzeczą nieobyczajną będzie zaprosić takiego pana; wymyślił przeto sposób do skłonienia go, ażeby się sam zaprosił. W tym celu rano, o godzinie, w której pana Geri i posłów ujrzyć się spodziewał, zasiadał w śnieżnej białości kaftanie i świeżo wypranym fartuchu (tak że raczej do młynarza niż do piekarza był podobien) przed drzwiami swego sklepu, mając przy sobie nowe wiadro blaszane pełne świeżej wody, a przy nim dzbanuszek boloński swego wybornego białego wina i dwa kielichy tak lśniące, że się srebrnymi być wydawały. Ujrzawszy nadchodzących posłów, płukał dwukrotnie usta, a potem zaczynał pić z takim wyrazem ukontentowania, że w umarłym nawet pragnienie byłby rozbudził. Pan Geri spojrzał nań kilka razy, aż wreszcie trzeciego dnia, przechodząc, rzekł w te słowa:

— Cóż, Cisti, jakże smakuje? Czy zacne?

Cisti na te słowa podniósł się żwawo i rzekł:

— Że jest dobre, Wasza Miłość, wątpić nie lza<sup>8</sup>, ale do jakiego stopnia, nie mogę wam dać do pojęcia, jeżeli go sami spróbować nie zechcecie.

Słyszając to, pan Geri (w którym czy to upał pragnienie obudził, czy też może większe niż zwyczajnie zmęczenie albo widok pijącego z taką przyjemnością Cistiego) zwrócił się do swoich towarzyszy i rzekł z uśmiechem:

— Mości panowie, przystało nam pokosztować wina u tego czcigodnego człeka; kto wie, może zacnym do tego stopnia się okaże, że próby żałować nie będziemy.

<sup>7</sup>*Geri Spina* — właśc. Ruggeri Spina; jeden z przywódców stronnictwa czarnych gwelfów we Florencji ok. 1300 r., kiedy papież Bonifacy VIII próbował poprzez swoich posłów pogodzić dwa odłamy gwelfów. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*nie lza* (daw.) — nie można. [przypis edytorski]

Po czym wszedł do piekarni pospołu z posłami. Cisti posadził ich na czystej ławie, przyniesionej z izby, a potem rzekł do pomocników swoich, którzy chcieli się do mycia kielichów zabierać:

— Ostawcie mi nad wszystkim staranie. Rozumiem się równie dobrze na myciu i nalewaniu kielichów, jak na wkładaniu w piec chleba; jeżeli zaś obiecujecie sobie choćby kropelkę tego wina kosztować, mylicie się bardzo.

To rzekłszy, wyplukał i ustawił na stole cztery piękne i nowe kielichy, po czym kazawszy przynieść maleńki dzbanek swego wybornego wina, począł gościnnie i hojnie pana Geri i jego towarzyszy nim częstować.

Wszyscy uznali wino za bardzo zacne, któremu równego od bardzo dawnego czasu pić im się nie zdarzyło, i jęli je wychwalać na wszelkie sposoby. Od tego też dnia poczynając, pan Geri, dopóki posłowie nie odjechali, prawie co rano na wino z nimi do piekarza zachodził. Gdy zaś posłowie, ukończywszy sprawy swoje, odjeżdżać już mieli, wyprawił pan Geri dla nich okazałą ucztę, na którą wielu najznakomitszych obywateli sprosił, a wśród nich także Cistiego, ale ten żadną miarą zaproszenia przyjąć nie chciał. Pan Geri pragnąc, aby goście jego owego sławnego wina od piekarza spróbowali, wysłał tedy<sup>9</sup> sługę do Cistiego z prośbą o małą butelkę, tak ażeby na każdego gościa po pół szklanki przynajmniej do pierwszego dania wypadło. Sługa, którego może gniewało, że dotąd jeszcze wina tego spróbować nie zdołał, wziął z sobą wielką butlę i przyszedł z nią do piekarza. Ten, spostrzegłszy miarę naczynia, rzekł:

— Pan Geri, mój synku, przysłał cię nie do mnie.

I chociaż sługa zaręczał po kilkakroć, że wie, dokąd go posłano, Cisti upierał się przy swoim. Powrócił tedy sługa do pana Geri i zdał mu z tego, co się zdarzyło, sprawę.

Pan Geri odrzekł:

— Idź raz jeszcze do piekarni i powiedz, że cię w samej rzeczy do Cistiego, a nie gdzie indziej posyłam, a jeżeli ci da tę samą, co pierwiej odpowiedź, to go spytasz, dokąd też myśli, żem cię posyłał?

Sługa, przyszedłszy po raz drugi do piekarza, rzekł:

— Zaprawdę, Cisti, pan Geri do ciebie przyjść mi kazał.

Na co Cisti:

— Wierę<sup>10</sup>, mój synu, być to nie może.

— No — zawołał sługa — gdzież więc, według ciebie, mnie posłał?...

— Do rzeki Arno — odparł Cisti.

Sługa zaniósł ten respons<sup>11</sup> panu Geri, któremu gdy usłyszał słowa Cistiego, nagle w głowie zaświtało i zawołał:

— Pokaż mi butelkę, z którąś chodził!

Ujrawszy ją, rzekł:

— Cisti miał słusność.

I zgromiwszy sługę, kazał mu wziąć stosowne naczynie i z nim znowu do piekarza się udać. Cisti zmierzyl wzrokiem przyniesioną butelkę i rzekł:

— Teraz widzę, że do mnie cię przysłano.

I nie tylko chętnie naczynie to swym wybornym winem napełnił, ale tegoż samego wieczora kazał beczuleczkę wina natoczyć i ostrożnie panu Geri do domu ją zanieść. Wkrótce potem sam udał się do niego i rzekł:

— Panie, nie chciałbym, ażebyście sądzili, że owa wielka butla dzisiaj rano mnie zastraszyła. Zdawało mi się tylko, żeście zapomnieli o tym, na co wskazywały małe dzbanuszki u mnie, a mianowicie, iż wino to nie jest zwyczajnym cienkuszem stołowym. Dlatego też dziś rano chciałem wam o tym przypomnieć. Teraz zaś, nie chcąc dłużej mieć na pieczy tego, co wam przynależy, odsyłam wam całą resztę tego wina i proszę, abyście rozporządzali nim wedle woli.

Pan Geri przyjął podarek Cistiego z wielkim ukontentowaniem, podziękował mu, jak za podobny dar podziękować należało, i od tego czasu uważał go za człowieka wielce godnego szacunku, a także za swego przyjaciela<sup>12</sup>.

<sup>9</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>respons (z łac., daw.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

## OPOWIEŚĆ TRZECIA. FAŁSZYWA MONETA

*Nonna de'Pulci, odpowiedziałwszy zręcznie na żart nieskromny florenckiego biskupa, responsem tym usta mu zamyka.*

Gdy Pampinea opowieść swoją skończyła, wszyscy pochwalili Cistiego za jego respons, jako i za jego hojność. Potem królowa na Laurettę z kolei ręką skinęła. Lauretta z uprzejmym wyrazem oblicza zaczęła w te słowa:

— Wdzięczne przyjaciółki! Jak pierwej Filomena, tak teraz znów Pampinea wielką słuszność miały, zwracając uwagę naszą na brak przytomności umysłu, który dzisiejsze białogłowy cechuje, i wychwalając trafne słówka a dowcipne odpowiedzi. Do ich słów w tej materii nic już dodać nie można, chyba to tylko, że jeśli żart ma ukąsić, to nie jak pies, ale jak jagnię kasać powinien, w przeciwnym bowiem razie nie żart to będzie, ale grubiaństwo. Cisti i pani Oretta doskonale miarę tę rozumieją. Jeżeli jednak i zjadliwą odpowiedź pochwalić można, to tylko w tym razie, gdy jest odparciem wyraźnej złośliwości i chęci obrażenia, jak pies się odgryza ten, kto psa ukąszenie poczuł na sobie. Zanim bowiem wda się ktoś w żarty, zważyć dobrze powinien, jak, kiedy i z kim to czyni. Pewien prałat z naszego miasta za to, że o tym wszystkim przepomniał<sup>12</sup>, bolesną odebrał naukę, jak to wam zaraz opowiem.

„Za czasów, gdy Imc Antonio d'Orso, mądry i czcigodny książę Kościoła, był biskupem florenckim, przybył do tego miasta pewien szlachcic kataloński nazwiskiem Diego della Ratta, marszałek króla Roberta. Urodziwy ten mąż, będący przy tym wielkim kobiet lubownikiem<sup>13</sup>, szukając sobie pośród pięknych Florentynek zdobyczy, zwrócił oko na urodziwą wielce białogłową, wnuczkę biskupiego brata. Mąż tej białogłowej, mimo że był człkiem zacnego rodu, sływał z brudnego skąpstwa i nikczemnego charakteru. Pan Diego, dowiedziawszy się o tym, śmiało przystąpił do niego i rzekł, że da mu pięćset dukatów w zamian za pozwolenie spędzenia jednej nocy z jego żoną. Zgoda wnet nastąpiła, i pan Diego, wbrew chęciom owej pięknej niewiasty, noc pospołu z nią spędził, potem jednakże mężowi jej miast<sup>14</sup> pięciuset obiecanych dukatów dał pięćset srebrnych groszy, jakie były wówczas w obiegu, a które zręcznie pozłocić kazał. Wiadomość o tym wnet się po całym mieście rozniosła i podły mąż wstyd i szkodę zarazem ponieść musiał. Biskup, dowiedziawszy się o całej sprawie, jak na roztropnego człeka przystało, nic po sobie nie pokazał i po dawnemu przebywał wiele z panem Diego, z którym go dotąd przyjazne wiązały stosunki.

Otóż zdarzyło się, że gdy w dzień świętego Jana obydwoj przejeżdżali konno przez plac, na którym wyścigi się odbywały, i przyglądali się przytomnym<sup>15</sup> damom, biskup spostrzegł pewną młodą białogłową, którą obecnie morowa zaraza nam wydarła. Była to Nonna de'Pulci, krewniaczka pana Alessio Rinucci, którą wszyscy zapewne znać musicie. W owym czasie miała ona w sobie całą krasę młodości, a przy tym znana była z żywości umysłu i obrotnego słowa. Przed niedawnym czasem poszła właśnie za mąż i mieszkała niedaleko bramy Św. Piotra. Biskup już z daleka ją pokazywał panu Diego, skoro się zaś do niej przybliżył, uderzył po ramieniu swego towarzysza i zwracając się do pani Nonny, rzekł:

— Nonno, cóż myślisz o tym zuchu? Dałabyś mu rady?

Pani Nonna poczuła się urażoną tymi słowami, godzącymi w jej uczciwość, tym więcej że wypowiedziane one zostały w obecności wielu słuchaczy, którzy stąd złe mniemanie o cnocie jej powziąć by mogli, i w jednej chwili postanowiła nie tylko wszelkie podejrzenie od siebie usunąć, aliści<sup>16</sup> i pięknym za nadobne zapłacić, dlatego też żywo odparła:

— Panie, może by mi on nie dał rady, aliści w każdym razie żądałabym dobrej monety.

Marszałek i biskup jednocześnie drgnęli na te słowa i zmieszali się — pierwszy przypomniałszy sobie nieuczciwe postąpienie swoje z krewniaczką biskupa i jej mężem; drugi

<sup>12</sup>przepomnieć (daw.) — zapomnieć. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>lubownik (daw.) — miłośnik. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>miast (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>przytomny (daw.) — obecny (przy czymś). [przypis edytorski]

<sup>16</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]



na wspomnienie hańby, która przez tę krewniaczkę rodzinie jego się stała. Nie patrząc więc na siebie, zawstydzeni, w milczeniu z tego miejsca odjechali, nie mówiąc już tego dnia nic więcej. Młodej damie zaś nikt tego za złe nie miał, że zjadliwym słowem nieprzystojną napaść odparła”.

## OPOWIEŚĆ CZWARTA. JEDNONOGI ŻURAW

*Chichibio, kucharz Currada Gianfigliazzi, ratując się bystrym responsem, gniew swego pana w wesołość zamienia i przez to grożącej mu kary unika.*

Po Lauretcie i jednogłośnych pochwałach pani Nonnie złożonych Neifila na rozkaz królowej głos zabrała:

— Piękne towarzyski — rzekła — nie dziwota, gdy bystry umysł znajdzie natychmiast słówko trafne i celne, do okoliczności stosowne; ale czasem zdarza się także, że tępemu i bojaźliwemu człowiekowi ostatnia i ciężka potrzeba podsunie tak doskonały respons<sup>17</sup>, jakiego by w spokojnej chwili nigdy wymyślić nie potrafił. Dam wam zaraz dowód na to.

„Currado Gianfigliazzi, jak to każdy z was już zapewne słyszał, a może i widział, był jednym z najszczodroblewszych i najgościnniejszych obywateli naszego miasta. Wiecie także, że rycerski wielce żywot pędził i osobliwe upodobanie w psach i ptakach łowczych znajdował — by już o większych jego dziełach nic nie rzec. Otóż pewnego dnia, gdy sokół jego koło Peretoli żurawia upolował, pan Currado, widząc, że ptak jest młody i tłusty, posłał go swemu doskonałemu kucharzowi z rozkazem przyrządzenia tej zdobyczy smakowicie na wieszę. Chichibio (tak się nazywał ów kucharz, Wenecjanin, będący wielkim tępakiem z wejrzenia i w rzeczy samej) oskubał żurawia, wsadził go na rożen i jął<sup>18</sup> troskliwie opiekować. Potrawa była już niemal gotowa i wokół siebie silną i apetyczną woń rozsiewała, gdy pewna niewiastka z okolicy, imieniem Brunetta, w której Chichibio był wielce rozkochany, do kuchni weszła, a poczuwszy woń mięsiwa na rożnie i widząc żurawia, najpięszczośliwszymi słowy ją prosić kucharza, ażeby jedno udo dla niej odciął.

Chichibio odrzekł, śpiewając:

Nic z tego, piękna Brunetto, nic z tego, wierzaj mi!

Czym dziewczynę tak rozgniewał, że zawołała:

— Ha! Jeśli tak, to przysięgam ci, że jak Bóg na niebie, i ty nigdy niczego ode mnie nie dostaniesz.

Wówczas Chichibio po krótkim, ale w słowa obfitym sporze, nie chcąc dręczyć niewiasty, odciął żurawiowi jedną nogę i obdarzył nią swoją umiłowaną.

Gdy godzina wieszery nadeszła, postawiono przed panem Curradem i gośćmi owego żurawia o jednej nodze. Wówczas gospodarz, zdziwiony, rozkazał przywołać kucharza i zapytał go, co się z drugim udem stało. Chichibio, który, jako Wenecjanin, w łgarstwie celował, odrzekł natychmiast:

— Panie, żurawie mają tylko jedno udo i jedną nogę.

Na to pan Currado, rozgniewany, zawołał:

— Jak to, do kroćset, chcesz wmówić we mnie takie głupstwo? Zali to pierwszy żuraw, którego w życiu widzę?

Ale Chichibio, niezmiészany, rzekł:

— Jest tak, jak powiadam, a jeśli chcecie, panie, to na żywych żurawiach dowodnie wam to pokażę.

Currado przez wzgląd na przytomnych<sup>19</sup> gości pohamował się i rzekł:

— Jeśli obiecujesz pokazać mi to, czegom nigdy sam nie widział ani nie słyszał o tym od innych, jutro obietnicy dotrzymać musisz. Jeżeli jednak nie zdołasz tego uczynić, to przysięgam na ciało Chrystusa, że dam ci taką naukę, iż przez całe życie swoje z trwogą o mnie wspominać będziesz.

<sup>17</sup> *respons* (z łac., daw.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> *jąć* (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *przytomny* (daw.) — obecny (przy czymś). [przypis edytorski]

Na tym skończyła się tego wieczora ich rozmowa. Nazajutrz zaraz o świcie pan Currado, którego gniew we śnie wcale nie osłabł, podniósł się z łoża, jeszcze jakby napęczniały, kazał wsiąść kucharzowi na koń, a potem wspólnie z nim wyjechał, kierując się ku bagnom, położonym przy rzece, nad brzegiem której o wczesnym ranku najczęściej żurawie się trafiały. Po drodze zasię rzekł do Chichibia:

— Obaczmy teraz, kto wczoraj zełgał: ja czy ty.

Chichibio, widząc, że gniew jego pana nie sfolgował i że trzeba dowieść prawdy słów swoich, co rzeczą niemożliwą mu się zdawało, jechał w największym strachu za panem Curradem. Gdyby mógł, byłby chętnie umknął, gdzie pieprz rośnie. Nie mając jednak tej możliwości, spoglądał raz na prawo, to znów na lewo lub przed siebie, a każdy przedmiot, który przed nim zamajaczył, zdał mu się być żurawiem, stojącym na dwóch nogach.

Nareszcie na brzegu rzeki ujrzał pierwszy około dwunastu żurawi, stojących na jednej nodze, jak to jest w obyczaju u tych ptaków, gdy je sen zmorzy.

Na ten widok Chichibio obrócił się żywo do swego pana i rzekł, wskazując na ptaki:

— Teraz jawnie przekonać się możecie, że wczoraj wieczorem prawdę powiedziałem twierdząc, iż żurawie mają tylko jedno udo i jedną nogę. Spójrzycie tylko przed siebie.

Currado zawołał:

— Poczekaj chwilę, zaraz ci pokażę, że żurawie mają dwie nogi.

I podjechawszy bliżej nieco, zakrzyknął:

— Ha! Ha!

Na ten krzyk spłoszone żurawie opuściły natychmiast podniesioną w górę nogę i przebiegły kilka kroków odleciały z pośpiechem.

Wówczas pan Currado zwrócił się do Chichibia i spytał:

— No! hultaju, jak ci się zdaje, ile nóg mają?

Chichibio ze strachu już prawie zmysły postradał, ratując się zawołał jednak:

— W samej rzeczy, wielmożny panie, w samej rzeczy, ale na wczorajszego żurawia nie krzyknęliście: »ha! ha!«. Gdybyście to byli uczynili, jestem pewien, że i on byłby drugą nogę pokazał, jako i te ptaki przed chwilą.

Niespodziana ta odpowiedź wprawiła pana Currado w tak wielką wesołość, że cały gniew jego stopniał i gwałtownemu śmiechowi miejsca ustąpił. Wreszcie, pohamowawszy się nieco, rzekł:

— Masz słuszność, Chichibio, powinienem był tak wczoraj wieczór postąpić. Moja więc to wina, nie twoja.

Takim to sposobem Chichibio, ułagodziwszy szybko i zabawną odpowiedzią swego pana, ciężkiej kary uniknął<sup>20</sup>.

## OPOWIEŚĆ PIĄTA. SZPETNY WYGLĄD

*Pan Forese da Rabatta i malarz Giotto jadą razem z Mugello. Jeden z nich pokpiwa ze szpetnego wyglądu drugiego.*

Gdy Neifile umilkła i gdy odpowiedź Chichibia wielką uciechę damom sprawiła, na rozkaz królowej głos zabrał Panfilo:

— Często się zdarza, jak już o tym Pampinea wspominała, że los największe nawet cnoty i zdatności w cieniu nędznego rzemiosła chowa, a natura znów zadziwiająco przymioty umysłu pod odstraszącą postacią ludzką ukrywa. Jawnie się to pokaże na przykładzie dwóch ziomków naszych, o których wam pokrótce opowiedzieć zamierzam. Jeden z nich, pan Forese da Rabatta, był człkiem tak małego wzrostu i nikczemnej postury, twarz miał tak płaską, a nos tak zadarty, że najszpetniejszy z Baroncich nie chciałby się z nim na powierzchowność mieniać<sup>20</sup>. Jednocześnie tak głęboką wiedzę w kwestiach prawnych celował, że najuczciwszym ludzkiem studniom mądrości go nazywali.

Drugiemu na imię było Giotto<sup>21</sup>. Był to człek tak wysokimi zdolnościami obdarzony, że natura, matka i twórczyni wszystkiego, żadnej rzeczy w kręgu wszechświata tak pięknej

<sup>20</sup>mieniać się — zamieniać się. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>Giotto di Bondone (1266/7–1337) — włoski malarz i architekt z Florencji, którego twórczość wyznacza przejście od średniowiecza do renesansu. [przypis edytorski]

wydać nie mogła, której by on rylcem, piórem lub pędzlem odtworzyć nie był zdołał — i to w ten sposób, iż dzieła jego nie tylko zupełne podobieństwo do rzeczy wyobrażonej miały, ale samą naturą być się zdawały i ludziły do tego stopnia wzrok ludzki, że wiele razy za prawdziwe brano, co wymalowane było. Słusznie nazwano go przeto jednym z promieni chwały świetlanej Florencji. On to bowiem sztukę, setki lat krzywdzoną przez tych, którzy więcej dbali o przypodobanie się oczom nieukształconych widzów niż umysłowi ludzi światłych, z upadku podniósł i nowym blaskiem otoczył. Przy tym zasię w nieporównanej skromności swojej (jakkolwiek wszyscy artyści uczniami jego byli) nigdy imienia mistrza przyjąć ani nosić nie chciał. Więcej go jednak zdobyła i podnosiła ta skromność niżli tytuł mistrza, który sobie przywłaszczali chciwie ludzie sto razy mniej w sztuce od niego i od jego uczniów zawołani. Przy całej wielkości jego sztuki, uroda jego i rysy ani na krztynę piękniejsze nie były od urody i rysów pana Forese. Wróćmy jednak do opowieści.

„Forese i Giotto mieli posiadłości w Mugello. Otóż w czasie kanikuły<sup>22</sup> i feryj sądowych pan Forese wybrał się na wieś dla obejrzenia swego gospodarstwa, w drodze powrotnej zasię, jadąc na niepozornej kłaczy, napotkał wspomnianego już malarza, który podobnie, włości swe obejrzawszy, do Florencji wracał.

Giotto nie miał ani o źdźbło lepszego wierzchowca, a strój jego był równie podły jak strój pana Forese. Zrównali rumaki swoje i jak na dwóch sędziwych ludzi przystało, stępa obok siebie jechać poczęli.

Naraz, jak się to często w lecie przytrafia, nagły deszcz padać zaczął, zmuszając ich do szukania sobie czym prędzej schronienia w domu pewnego kmiotka, który ich obydwu znał dobrze i przyjaźnią darzył. Ponieważ czas mijał i nie można było żywić nadziei, że wypogodzi się wkrótce, a oni tegoż dnia do Florencji powrócić chcieli, pożyczili sobie tedy<sup>23</sup> dwa stare, grube płaszcze, jakie znaleźli pod ręką, oraz dwa kapelusze, całkiem prawie znoszone, i w tym stroju w dalszą drogę się wybrali. Wkrótce deszcz zmoczył ich do nitki, konie obryzgały ich błotem, tak iż godności przydawać im to nie mogło. Jechali obok siebie w milczeniu, gdy się jednak niebo nieco wyjaśniło, wdali się w gawędę. Pan Forese, jadąc i słuchając Giotta, który bardzo pięknie zwykł mówić, począł mierzyć go wzrokiem od stóp do głowy; wreszcie, zważywszy jego mizerny pozór, niepamiętny na to, jak sam wygląda, śmiać się począł i zawołał:

— Giotto, gdyby teraz jakiś obcy, nieznający ciebie człowiek napotkał nas, zali sądzisz, że mógłby uwierzyć, iż widzi przed sobą najbardziej zawołanego na świecie malarza?

— Panie — odparł, nie namyślając się, Giotto — sądzę, że uwierzyłby temu, gdyby wraz, tobie się przyjrzawszy, mógł uwierzyć, że znasz choćby abecadło.

Pan Forese usłyszawszy to spostrzegł swoją winę i poczuł, że mu równą monetą odplacono”.

## OPOWIEŚĆ SZÓSTA. DOWÓD SZLACHECTWA

*Michele Scalza dowodzi kilku młodzieńcom, że Baronci są najstarszym rodem na świecie, i w zakładzie wieczernę wygrywa.*

Damy śmiały się jeszcze z trafnej odpowiedzi Giotta, gdy królowa Fiammetcie dalej opowiadać rozkazała. Fiammetta tak rzecz podjęła:

— Panfilo w poprzedniej opowieści wspomniał o Baroncich, których wy, drogie przyjaciółki, nie znacie zapewne tak dobrze jak on; pragnę tedy, nie oddalając się od materii naznaczonej, opowiedzieć wam, jak starodawne jest szlachectwo ich rodu.

„Przed niedawnym czasem żył w mieście naszym młodzieniec, imieniem Michele Scalza, najweselszy na świecie krotochwilnik<sup>24</sup>, znany z daru opowiadania osobliwych powieści, które jak z rękawa wytrząsał. Młodzi Florentczycy, ilekroć przedsiębrali jaką wesołą zabawę, ubiegali się o jego towarzystwo. Otóż gdy młodzieniec ten pewnego dnia wraz z innymi w Montughi się znajdował, zdarzyło się, iż wszczął się spór o to, który z rodów florenckich jest najstarszym i najszlachetniejszym. Jedni twierdzili, że Uberti,

<sup>22</sup>kanikula (z łac., daw.) — wakacje letnie. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>krotochwilnik (daw.) — żartowniś. [przypis edytorski]

drudzy, że Lamberti, ten wymieniał jedno nazwisko, inny drugie, każdy wedle swego rozumienia. Scalza, przez długi czas przysłuchując się w milczeniu, śmiać się naraz począł drwiąco i zawołał:

— O głupcy, głupcy, sami nie wiecie, co powiadacie! Najstarszym i najszlachetniejszym rodem nie tylko we Florencji, ale na całym świecie, a nawet w bagnach Maremmy, są Baronci. Już dawno zgodzili się na to filozofowie oraz wszyscy, równie dobrze jak ja, tę rodzinę znający. Ażebyście jednak nie sądzili, że mówię o kim innym, wiedźcie więc, że myślę o Baroncich z Santa Maria Maggiore, waszych sąsiadach.

Zgromadzona młodzież mniemała dotychczas, że słowa Scalzy odnoszą się do nieznanych Baroncich, aliści<sup>25</sup> usłyszawszy jego wyjaśnienie, wszyscy przytomni roześmieli się w głos i zawołali:

— Cóż to, za dudków nas bierzesz? Czyż nie znamy Baroncich równie dobrze jak ty?

— Klnę się na *Ewangelię* — zawołał Scalza — że nie chcę żartować. Mówię wam najświętszą prawdę i założyć się nawet gotów jestem o to z każdym z was; stawką niech będzie wieczerza na sześć osób, które wygrywający sam sobie wybierze. Więcej jeszcze, gotów jestem poddać się czyjemu tylko zechcecie wyrokowi w tej sprawie.

Na to jeden z młodzieńców, nazwiskiem Neri Vannini, rzekł:

— Dobrze, przyjmuję zakład, ciesząc się zawczasu, że wieczerzę wygrałem.

Po czym umówiwszy się, że Piero di Fiorentino, w którego domu właśnie się znajdowali, rozstrzygnie zakład pomiędzy nimi, natychmiast do niego się udali. Reszta młodzieży pośpieszyła za nimi, ażeby być świadkami, jak Scalza przegra zakład, i aby nadrzeć się potem z niego do syta.

Skoro przybyli do Piera i opowiedzieli, mu o szczegółach zakładu, Piero, nader roztropny młodzian, wysłuchał wpierw Neriego, a potem zwrócił się do Scalzy z zapytaniem:

— W jaki sposób zamysłasz dowieść swego twierdzenia?

— W sposób tak przekonywający — odrzekł Scalza — racji mojej dowiodę, że nie tylko ty, ale ten nawet, kto mi obecnie kłam zadaje, słuszność mi przyznać będzie zmuszony. Wiadomo wam, że im ród jaki jest starszy, tym także jest szlachetniejszy. Jeżeli więc wam dokażę, że Baronci należą do najstarszej szlachty, dowiodę zarazem, że i do najlepszej się liczą. Wiedźcie tedy, iż Pan Bóg stworzył Baroncich w owym czasie, kiedy ledwo zaczynał uczyć się lepienia z gliny, wszyscy zaś inni ludzie powstali z jego ręki wtedy, kiedy już w tym kunszcie celować począł. Dla przekonania się, że prawdę mówię, popatrzcie uważnie na Baroncich, a potem na innych śmiertelników. Podczas gdy twarze i postaci innych są foremnie ukształtowane, przyznać musicie, że z Baroncich jeden ma nieskończenie długą i wąską twarz, a drugi znowu bez miary szeroką. U tego nos się nie kończy, u innego nie ma go prawie, tamten znów ma podbródek naprzód podany i zadarty w górę, a szczęki jego i uszy oślim się równają.

Ba, są nawet tacy pomiędzy nimi, którzy mają jedno oko małe, a drugie wielkie albo jedno wyżej od drugiego umieszczone. Słowem, oblicza ich podobne są do malowideł, które dzieci kreślą, gdy rysować się uczą. Jawnie stąd widać, jak to już powiedziałem, że ich Bóg wtedy stworzył, gdy się dopiero z gliny lepić uczył. Z tego wynika, że ród ich jest najdawniejszym ze wszystkich rodów, a więc i najszlachetniejszym.

Że Baronci w samej rzeczy tak wyglądali, jak ich Scalza opisał, wiadomo było sędziemu Pierowi, Neriemu i wszystkim obecnym. Słyszając tedy<sup>26</sup> żartobliwy argument, jakiego Scalza użył, parsknęli wszyscy śmiechem i oświadczyli jednogłośnie, że słuszność jest po stronie Scalzy, że wieczerza do niego należy, i że Baronci bez najmniejszej wątpliwości są najszlachetniejszym i najstarszym rodem nie tylko we Florencji, ale i na całym świecie, a nawet w Maremmie.

I dlatego też słusznie Panfilo, chcąc dać pojęcie o szpetocie oblicza pana Forese, rzekł, że żaden z Baroncich nie chciałby się z nim pomieniać<sup>27</sup>.

## OPOWIEŚĆ SIÓDMA. NIEWIERNĄ ŻONA

<sup>25</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

*Madonnę Filipkę zaskoczył mąż w ramionach jej miłośnika. Filippa, stanąwszy przed sądem, szybkim i zręcznym responsem uwalnia się od kary i przyczynia się do zmiany niesprawiedliwego prawa.*

Gdy Fiammetta umilkła, wszyscy jeszcze długo się śmieli z powodu niezwykłego argumentu, jakiego użył Scalza, aby dowieść wyższości rodu Baroncich nad wszystkimi innymi. Po chwili królowa obróciła się do Filostrata rozkazując mu opowiadać dalej. Filostrato tak zaczął:

— Wielce szanowne damy! Wielka to jest zawsze zdatność, gdy się dobrze mówić umie, aliści<sup>27</sup> jeszcze większą umiejętnością jest mówić dobrze wówczas, gdy tego konieczność wymaga. Dar ten posiadała pewna szlachetna dama, o której wam teraz opowiedzieć zamierzam. Nie tylko wesołość i śmiech słuchaczy wywoływać nieraz umiała, aliści też haniebnej śmierci ujść potrafiła.

„W mieście Prato istniało ongiś wielce surowe i godne potępienia prawo. Według tego prawa, bez żadnej różnicy, żona, którą mąż na niecnocie z kochankiem przychwycił, spalona na stosie być musiała równie jak i ta, co za pieniądze mężczyznom ciało swoje oddawała i na tym przydybana została. Gdy prawo to jeszcze moc swoją miało, zdarzyło się, że pewna szlachetna i urodziwa dama, zakochana okrutnie, Filippą zwana, została nocą we własnej komnacie zdybana przez męża swego, Rinalda de'Pugliesi, w ramionach kochanka, Lazzarina de'Guazzagliotri, urodziwego i szlachetnego młodzieńca, który równie ją miłował jak ona jego. Rinaldo na ów widok w taką wściekłość wpadł, że zaledwie pohamować się zdołał, aby nie rzucić się na nich i obojga nie zabić. Gdyby był wiedział, że za swój czyn odpowiadać nie będzie, ani chybi, uległby pierwszemu gniewu zapędowi i życia by ich pozbawił. Pohamowawszy się, nie mógł jednak odmówić sobie tego, aby obrócić się do miejscowego sądu, dla dopełnienia kary, której sam dopełnić nie mógł. Zebrawszy dostateczne dowody, świadczące o wiarołomstwie żony, rankiem następnego dnia, nikogo uprzednio o radę nie pytając, wniósł do sądu skargę na Filippę. Filippa, białogłowa wielce odważna, tak jak odważnymi pospolicie bywają wszystkie prawdziwie miłujące białogłowy, postanowiła stanąć przed sądem (aczkolwiek krewniacy i przyjaciele odradzali jej to z wszystkich sił swoich), wołąc raczej całą swoją tajemnicę wyjawić i mężnie śmierć spotkać niżli tchórzliwą ucieczką się salwować, żyć wiecznie na wygnaniu i przez to okazać się niegodną kochanka, w którego objęciach ostatnią noc spędziła. Otoczona wielu mężczyznami i białogłowami, którzy błagali ją, aby do winy się nie przyznawała, stanęła przed podestą<sup>28</sup> i spytała go spokojnym głosem, czego od niej żąda. Podesta, spojrzawszy na Filippę i przekonawszy się, że ma przed sobą piękną i układną nad wyraz białogłową, a do tego wielkim męstwem obdarzoną, o czym jej słowa dowodną poznakę dawały, uczył litość dla niej i obawiać się począł, aby jakimś niebacznym słowem się nie zdradziła, co by zmusiło go do wydania wyroku śmierci na nią, jeśli godności swej nie chciał uchybić.

Nie mogąc jednak uniknąć zapytania jej o to, co jej zarzucono, podesta rzekł:

— Jak widzicie, madonno, mąż wasz Rinaldo, jest tutaj przytomny<sup>29</sup>. Wniósł on na was skargę, twierdząc, że was na wiarołomstwie przychwycił, i dlatego też domaga się ode mnie, abym zgodnie z istniejącym prawem, śmiercią was za to ukarał. Nie będę mógł jednak uczynić tego, dopóki sama do winy się nie przyznacie. Dlatego też pomyślcie wprzód dobrze, nim mi odpowiedź dacie, i powiedzcie mi, zali<sup>30</sup> słuszną jest skarga męża waszego?

Dama, wcale się nie zmieszawszy, odpowiedziała mu ujmującym głosem:

— To prawda, że Rinaldo jest moim mężem i że zeszłej nocy zastał mnie w objęciach Lazzarina, do którego często należałam dla tej czystej i wielkiej miłości, jaką dla niego żywię. Nigdy temu zaprzeczać nie będę. Aliści mniemam, że wam wiadome jest, iż prawa powinny istnieć dla wszystkich i że ustanawiać je winno się za zgodą tych, co im podlegać mają. W tym jednak wypadku sprawa ma się całkiem inaczej, prawa te srożą się tylko nad biednymi kobietami, które o ileż łatwiej niż mężczyźni zdołałyby zaspokoić wielu,

Kobieta, Prawo, Obyczaje

<sup>27</sup> aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> podesta — w średniowiecznych włoskich miastach najwyższy urzędnik o uprawnieniach sędziowskich i wojskowych. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> przytomny (daw.) — obecny (przy czymś). [przypis edytorski]

<sup>30</sup> zali (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

krom<sup>31</sup> tego zważyć trzeba, że ani jedna kobieta nie wyraziła swej zgody na ustanowienie tego prawa, a także o wyrażenie swego mniemania proszona nie była. Dlatego też prawo to niesprawiedliwym nazwać trzeba. Jeśli chcecie je wypełnić na zgubę ciała mego i waszej duszy, czyńcie swoją powinność. Nim jednak do sądenia mnie przystąpicie, proszę, abyście mi małą łaskę okazali i spytali męża mego, zaliżem<sup>32</sup> mu powolna<sup>33</sup> nie była, ile razy chciał tego, i czy kiedykolwiek pragnienia jego całkowicie nie wypełniłam.

Rinaldo, nie czekając na zapytanie sędziego, odparł, że jego żona w samej rzeczy po dobrej woli wszystkie jego pragnienia wypełniać była zwykła.

— A zatem — rzekła dama — spytam jeno<sup>34</sup>, jeśli brał ode mnie zawsze wszystko, czego pragnął i co mu się podobało, cóż miałam i mam czynić z resztą, która pozostała? Miałam ją może psom rzucić? Czyż nie lepiej ugościć nią szlachetnego młodzieńca, miłującego mnie nad życie własne niż zmarnować ją niegodnie?

Do sądu na sprawę pani Filippy, osoby tak znamienitej, zeszli się prawie wszyscy mieszkańcy Prato. Usłyszawszy jej wdzięczny respons<sup>35</sup>, gromkim śmiechem wybuchnęli i jak jeden mąż zawołali, że słuszność jest po jej stronie.

Zanim się rozeszli, uległszy namowom podesty, zmienili tedy<sup>36</sup> niesprawiedliwe prawo i postanowili, aby tyczyło się ono tylko tych kobiet, które dla pieniędzy mężów swych zdradzają. Rinaldo, srodze zawstydzony, wyszedł z sądu, zasię<sup>37</sup> dama wesoło i niefrasobliwie, jakby z płomieni zmartwychwstała, do domu z chwałą powróciła”.

## OPOWIEŚĆ ÓSMA. DOBRA RADA

*Pan Fresco radzi swej siostrzenicy, aby się w zwierciadle nie przeglądała, jeśli — jak powiadała — odrażającego oblicza obaczyć nie chce.*

Historia, opowiedziana przez Filostrata, zawstydziła nieco z początku słuchające go damy, czego żywym dowodem był rumieniec, który okraślił ich lica, później jednak, spojrzawszy jedna na drugą, zaledwo mogąc powstrzymać się od śmiechu słuchały chichotając<sup>38</sup>. Królowa uciszyła tę wesołość i wydała Emilii rozkaz przystąpienia do nowej opowieści. Ta, drgnąwszy, jak gdyby z głębokiego snu zbudzona, tak z westchnieniem zaczęła:

— Drogie przyjaciółki! Chocia myśli moje daleko stąd odbiegły, przecie chcę być posłuszną rozkazaniu królowej. Poprzestanę jednak na znacznie może krótszej opowieści, niżbym uczyniła, gdyby duch mój stąd się nie oddalał. Opowiem wam tedy o jednej głupiutkiej dziewczynie, która, przez wuja swego jadowitym uszczypkiem przyganiona, nie miała dosyć rozsądku, ażeby się na tym poznać.

„Szlachcic, nazwiskiem Fresco da Celatico, miał siostrzenicę, którą zwykle Cesca pieszczotliwie nazywano. Dzieweczka ta, jakkolwiek urodziwą postać i wdzięczne oblicze miała, nie mogła się jednak zaliczać do rzędu owych anielskich piękności, jakie się niegdyś na tym świecie trafiały. Ona sama jednak za taką piękność i doskonałość się poczytywała, że w obyczaj jej weszło o innych kobietach z lekceważeniem się odzywać, jako o niegodnych wchodzenia z nią w paragon<sup>39</sup>. Przekorna i kłótniwa, mężczyznom wszystkich miała za nic, a w każdej rzeczy coś złego umiała wynaleźć, nie myśląc wcale o tym, ile sama wad i przywar posiada. Gdyby była pochodziła z rodu królów Francji, wierę<sup>40</sup>, nie mogłaby wówczas być dumniejszą i bardziej nieprzystępną. Z powodu jej swarliwości<sup>41</sup> i złościwości nie podobna z nią długo przebywać było. Dosyć ją było zobaczyć na ulicy z krzywą i kapryśną miną, kręcącą nosem na świat cały, jakby śmierdziało jej wszystko, co widziała lub spotykała — ażeby nabrać stosownego pojęcia o różnych jej zaletach.

<sup>31</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>zaliżem (daw.) — czyżem; czy jestem. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>powolny (daw.) — posłuszny. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>respons (z łac., daw.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>chichotając — dziś popr.: chichocząc. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>w paragon wchodzić (daw.) — iść w wady; dorównywać komuś. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>swarliwość — kłótniwość. [przypis edytorski]

Otóż zdarzyło się, że pewnego dnia młódka z większymi niż zwyczajnie grymasami do domu powróciła. Usiadłszy obok swojego wuja, prychać i wzdychać poczęła.

Pan Fresco, spostrzegłszy to, rzekł:

— Cóż to znaczy, Cesco, że dzisiaj, w dzień świąteczny, tak prędko do domu powróciłaś?

Na co młódka, mizdrząc się pociesznie, odparła:

— Wróciłam tak rychło, bo nie zdarzyło mi się nigdy jeszcze w tym mieście tylu obrzydliwych i odrażających mężczyzn i kobiet na raz spotkać co dzisiaj. Ani jednej istoty znaleźć nie mogłam pomiędzy tłumem przechodniów, która by mi wstrętną nie była. Nie sądzę zaś, aby istniała na świecie druga białogłowa, której by było równie trudno jak mnie patrzeć na niemiłe oblicza. Aby więc nie spoglądać na nie, wróciłam tak szybko.

Fresco, któremu niedorzeczna próżność siostrzenicy zbytjuż we znaki się dała, odrzekł z powagą:

— Moje dziecko, skoro widok niemiłych osób tak cię drażni, to jeżeli chcesz mieć spokój, unikaj przeglądania się kiedykolwiek w zwierciadle.

Cesca, której się wydawało, że dla<sup>42</sup> swej mądrości z Salomonem w paragon<sup>43</sup> wchodzić by mogła, nie pojęła przymówki swego wuja i z baranym spokojem odparła, że nie widzi przyczyny, dla czegoby się w zwierciadle, jak inne niewiasty, przeglądać nie miała.

Tak oto, dzięki tępcocie swego umysłu, pozostała głupią i próżną na całe życie”.

## OPOWIEŚĆ DZIEWIĄTA. GUIDO CAVALCANTI

*Pan Guido Cavalcanti zręczną przymówką powiada uprzejmie rzecz obelżywą kilku florenckim pąkom, którzy go nagle zaskoczyli.*

Królowa widząc, że Emilia opowiadanie swoje skończyła i że z wyjątkiem jej, a także uprzywilejowanego do mówienia przy końcu Dionea, wszyscy z obowiązku swego się wywiązali, w te słowa się odezwała:

— Chociaż, miłe moje panie, zabrałyście mi dziś co najmniej dwie opowieści, z których jedną myślałam wam przytoczyć, to przecież jedna mi pozostała, która kończy się rzeczeniem tak pełnym treści, że o podobnym może jeszcze mowy tu nie było.

„Musicie wiedzieć, że dawnymi czasy w mieście naszym wiele pięknych i chwalebnych panowało zwyczajów, które teraz prawie całkiem w zapomnienie poszły, bowiem rosnące wraz z zamożnością skąpstwo na wstręcie<sup>44</sup> im stanęło.

I tak było w obyczaju, że znaczniejsi obywatele z sąsiednich ulic zbierali się często razem w różnych dzielnicach miasta i łączyli w towarzystwa, z pewnej określonej liczby osób się składające. Baczono przy tym na to, ażeby tylko takich ludzi do społeczności przyjmować, którzy by koszta wspólne podjąć mogli. Raz tedy<sup>45</sup> uczta u jednego wypadła, drugi raz u innego, i w ten sposób kolej na wszystkich przychodziła, i każdy w dniu oznaczonym podejmował całą kompanię. Często na takich ucztach goszczono znakomych cudzoziemców, o ile do Florencji przybywali, albo też spraszano na nie miejscowych obywateli. Przynajmniej raz w rok uczestnicy przywdziewali strój jednakowy i w pochodzie jechali razem przez miasto, to znów urządzali turnieje, szczególnie w dni wielkich świąt, z okazji zwycięstwa, albo też jakiego zdarzenia radosnego dla całego miasta.

Na czele jednej takiej kompanii stał pan Betto Brunelleschi. Tak on, jak i towarzysze jego starali się wszelkimi siłami wciągnąć do swego grona pana Guida z rodu Cavalcante de' Cavalcanti, a to nie bez ważkiego powodu. Pomijając już bowiem to, że pan Guido był jednym z najlepszych myślicieli na świecie i zawołanych przyrodników (o przymioty te towarzystwo niewiele dbało), był on także wielce wesołym, układnym i wymownym człkiem, słowem, łączył w sobie wszystkie przymioty prawdziwego szlachcica. Do czego tylko się wziął, umiał to zrobić lepiej niżli ktokolwiek inny. Przy tym wszystkim zasię<sup>46</sup> ogromny majątek posiadał. Kogo za godnego przyjaźni swej uznał, temu serce i rękę hojnie

<sup>42</sup>dla (daw.) — tu: z powodu. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>w paragon wchodzić (daw.) — iść w zawody; dorównywać komuś. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>stać na wstręcie komuś (daw.) — przeszkadzać komuś. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

otwierał. Nie dziwota tedy, że pan Betto zwabić go chciał na swoje zebrania. Gdy mu się to jednak nie udało, pospołu z swymi towarzyszami jął<sup>47</sup> sobie tłumaczyć niechęć Guida tym, że nieraz będąc filozofią zajęty, obcowania z ludźmi unikał.

Ponieważ Guido nieco ku wywodom Epikura się skłaniał, powszechnie mówiono wśród pospółstwa, że celem jego rozmyślań było wynaleźć dowód, że Bóg nie istnieje. Pewnego dnia Guido, idąc do kościoła Św. Michała i minąwszy ulicę Adimarich, doszedł zwyczajną mu drogą do kościoła Św. Jana i tam zatrzymał się pośród grobowców marmurowych (z których pewna część znajduje się obecnie u Świętej Reparaty, a inne przy Św. Janie). Stał pomiędzy kolumnami porfirowymi i nagrobkami a bramą Świętego Jana, wówczas zamkniętą. Pan Betto z towarzystwem swoim właśnie przez plac Świętej Reparaty przejeżdżał. Spostrzegłszy Guida pomiędzy grobowcami żartownisie zawołali:

— Musimy go trochę podrażnić!

Po czym, dodawszy koniom ostrogi, jak gdyby żartobliwą szarżę czyniąc, pędem puścili się ku niemu i nim się mógł spostrzec, już się przy nim znaleźli.

— Guido — rzekli — gardzisz towarzystwem naszym, cóż ci jednak przyjdzie z tego, jeżeli dowieść zdołasz, że Bóg nie istnieje?

Guido, widząc się otoczonym, odparł bez namysłu:

— Panowie, w domu waszym możecie mi mówić, co wam się podoba!

To mówiąc oparł się jedną ręką o grobowiec znacznej wysokości, lekkim bardzo skokiem przedostał się na drugą stronę i odłączywszy się od nich, odszedł. Wesołe towarzystwo spoglądało przez chwilę po sobie, aż wreszcie ktoś rzekł:

— Guido nie był widać przy zdrowych zmysłach, bowiem w odpowiedzi jego sensu dopatrzeć się trudno. Nie mamy przecież do tego miejsca ani o źdźbło więcej prawa od innych obywateli, a także do samego Guida.

Na to pan Betto, zwracając się do mówiącego i do reszty towarzyszy, odparł:

— To wy raczej nie jesteście przy zdrowych zmysłach, inaczej bowiem zrozumielibyście, że człek ten w kilku słowach uprzejmie ciężką obelgę wam rzucił. Czymże bowiem są te grobowce? Domami umarłych, jako że w nich grzebani są i spoczywają zmarli. Jeżeli powiedział tedy, że jesteśmy tutaj u siebie, to chciał przez to wyrazić, że my i inne podobne nam nieuki w porównaniu z nim i z ludźmi uczonymi mniej jeszcze znaczymy niż umarli, i dlatego będąc tu, jesteśmy w naszym domu.

Teraz dopiero pojęli wszyscy istotne znaczenie słów Guida. Odtąd, srodze zawstyżeni, przestali w drogę mu wchodzić. Pan Betto zasię od tego czasu za bystrego i domyślnego człowieka począł uchodzić<sup>48</sup>.

## OPOWIEŚĆ DZIESIĄTA. BRAT CIPOLLA

*Brat Cipolla obiecuje ludowi, że mu pokaże pióro archaniola Gabriela. Znalazszy w puzderku miast pióra węgle, niestropiony, oznajmia, że są to te same węgle, na których spłonął święty Wawrzyniec.*

Skoro wszyscy z kompanii opowieść swą wygłosili, Dioneo wiedział już, że na niego kolej przychodzi. Nie czekając tedy<sup>48</sup> uroczystego wezwania, poprosił o milczenie tych, którzy ciętą odpowiedź Guida jeszcze wychwalali, i tak zaczął:

— Mimo że z rąk waszych, czarujące damy, wziąłem przywilej opowiadania tego, co mi się podoba, nie myślę jednak dzisiaj od naznaczonej przez was materii się oddalić, o której tak trafnie tu mówiono, owszem, wstąpię w ślady wasze i opowiem, jak to pewien mnich od Św. Antoniego dzięki zręcznemu i niezwłocznemu wybiegowi uszedł wstydu, który mu dwaj młodzieńcy zgotować chcieli. Nie gniewajcie się jednak, jeżeli cokolwiek nad materią moją szerzyć się<sup>49</sup> będę, bowiem rzecz tego wymaga; zresztą spojrzycie na słońce i zważcie, że jeszcze wysoko na niebie stoi.

„Jak zapewne słyszałyście o tym, Certaldo jest małym miasteczkiem, należącym do florenckich dziedzin, a położonym w dolinie Elsy. Chocia gród to niewielki, kiedyś jed-

<sup>47</sup>jął (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>szerzyć się — tu: rozwodzić się; szeroko omawiać. [przypis edytorski]



nak zamożni i szlachetni obywatele go zamieszkiwali. Co rok zwykł był tutaj przez długi czas kazać mnich z zakonu Św. Antoniego, nazwiskiem brat Cipolla, znajdował tu bowiem zawsze dobrą paszę. Zbierał on hojne od głupców jałmużny i doznawał zawsze dobrego przyjęcia, może nie mniej dla nazwiska swego niż dla pobożności, okolice bowiem Certaldo wydają cebulę sławną na całą Toskanię. Brat Cipolla był człekiem o przysadkowej posturze, włosy miał barwy czerwonej, a oblicze zawsze wesołością tchnące. Był to najsprytniejszy hultaj pod słońcem. Chociaż nigdy niczego się nie uczył, umiał jednak w lot się odcinać i potoczyście mówić, tak iż każdy, kto go nie znał, nie tylko za wielkiego mówcę go poczytywał, ale gotów był mniemać, że to sam Cicero, a może Kwintylian. I ze wszystkimi bez mała w całej okolicy żył w przyjaźni, jako kum i doradca wielu.

Otóż pewnego razu obyczajem swoim brat Cipolla w sierpniu do Certaldo ściągnął. Gdy się już w niedzielę wszyscy poczciwcy z okolicznych wiosek pospołu z niewiastami na mszę przed kościołem zebrali, mnich, poczekawszy na stosowną chwilę, w te słowa przemówił:

— Oto nadchodzi pora, nabożni słuchacze, w której wedle pięknego obyczaju, obdarzać zwykliście biedne sługi niebieskiego ksiąźęcia, świętego Antoniego, ziarnem i mąką; jedni niewiele posyłają, drudzy mnogo, wedle możności i pobożności swojej, a to na intencję, ażeby ten możny święty wasze woły, osły, świnie i owce pod płaszcz opieki swojej przyjął. Zwykliście także o tej porze (szczególnie ci z was, którzy się do bractwa naszego zapisali) uiszczać raz na rok pewną małą sumę. Otóż po dary te przez zwierzchność mają, to jest przez Jego Świątobliwość, opata naszego, przysłany tutaj zostałem. Zbierzcie się tedy za błogosławieństwem bożym dzisiaj po południu przed kościołem o godzinie trzeciej, skoro głos dzwonka usłyszycie, z ofiarami waszymi, a zarazem dla wysłuchania kazania i pocałowania krzyża świętego. Nadto, ponieważ wiadomo mi jest, jak gorących czcicieli szlachetny święty Antoni pomiędzy wami posiada, przyniosłem wam ku osobliwemu błogosławieństwu dla całej okolicy piękną relikwię, wielkimi cudami słynącą, którą niegdyś sam z Ziemi Świętej, zza morza przywiozłem. Jest to jedno z piór archanioła Gabriela, zgubione przez niego w komnacie Marii Dziewicy, gdy przybył do niej do Nazaretu ze zwiastowaniem.

Po tej przemowie zamilkł i wrócił pobożnie do kościoła.

Pomiędzy wieloma słuchaczami, którzy mowie brata Cipolli się przysłuchiwali, znajdowało się także dwóch młodzieńców, z których jeden zwał się Giovanni del Bragoniera, drugi Biagio Pizzini. Byli to dwaj na wszystkie boki kuci franci. Ci, uśmiewszy się między sobą z relikwii brata Cipolli i mimo że żyli w przyjaźni z mnichem i często z nim obcowali, postanowili figla mu z tym piórem wypłatać. Wiedzieli, że brat Cipolla tego dnia będzie jadł obiad u jednego ze swoich przyjaciół na zamku; upewniwszy się więc, że już tam poszedł, udali się do gospody, w której braciszek stanął. Po drodze umówili się, że Biagio wda się w pogawędkę ze sługą brata Cipolli, a Giovanni tymczasem w jego rzeczach owego pióra poszuka i że znalazłszy zabierze je z sobą, aby obaczyć, co potem mnich wobec ludu uczyni. Brat Cipolla miał sługę, Guccia, którego jedni Wielorybem, drudzy Smarozem, a jeszcze inni Świntuchem nazywali. Brzydkał był taki, że szpetniejszego nigdy Lippo Topo nie wymalował. Brat Cipolla często żartował sobie z niego i tak się o nim w kompanii odzywał: »Mój sługa ma dziewięć przymiotów, z których każdy, gdyby go Arystoteles, Salomon lub Seneka posiadali, wystarczyłby do zaćmienia i zniszczenia całej ich mądrości, cnoty i szlachetnych zasad życia. Imaginujcie<sup>50</sup> sobie tedy<sup>51</sup>, co to musi być za człowiek, który nie mając mądrości, cnoty ani szlachetnych zasad życia, posiada takich dziewięć przymiotów«.

A gdy się pytano, jakie to są owe przymioty, brat Cipolla odpowiadał następującym wierszem, który sam ułożył:

Łgarz wierutny,  
Leniuch, złodziej,  
Od stóp do głów  
W brudzie chodzi.

<sup>50</sup>*imaginujciez sobie* — konstrukcja z partykułą -ze, skróconą do -z; znaczenie: wyobraźcie (też) sobie. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

Nieodmienny świszczypała  
Bez pamięci i posłuchu,  
Na spódnicę wszelką łasy,  
Czterech szpiegów w każdym uchu.

»A przy tym — zwykł dodawać brat Cipolla — ma on jeszcze kilka innych ma-luczkich przywar, które jednak płaszczem miłości chrześcijańskiej pokrywam. Najkro-tochwilniejsze<sup>52</sup> jest w nim to, że gdy przybędzie do jakiejś wioski lub miasta, zaraz się chce żenić i najmować mieszkanie. Ponieważ ma długą, czarną i plugawą brodę, tedy mu się wydaje, że jest urodziwy wielce i że każda białogłowa, ledwie spojrzy na niego, już go pokochać musi. Gdyby go puścić wolno, uganiałby się za nimi, dopóki by portek nie zgu-bił. Prawda, że mi jest pomocny wielce. Gdy z kimś mówię w tajności, zawsze wszystko podsłucha, gdy zasię<sup>53</sup> mnie o cokolwiek ktoś zapyta, zaraz obawiać się zaczyna, że nie będę umiał odpowiedzieć, i *respon*s<sup>54</sup> za mnie daje, mówiąc: tak lub nie, stosownie do okoliczności«.

Ostawiwszy sługę w karczmie, brat Cipolla przykazał mu, aby troskliwie na jego rzeczy baczył i nikomu tykać ich nie pozwolił, zwłaszcza zasię, by miał na pieczy sakwę, w której relikwie święte się zawierały. Aliści hultaj Guccio nie myślał zostawać na czatach, wołał siedzieć w kuchni, gdzie mu było lepiej niżli słowikowi wśród zielonych gałęzi, szczegól-niej jeśli w niej gładką jakąś dziewczynę obaczył. A właśnie w tej gospodzie spostrzegł krępą, tłustą, przysadzistą i pokraczną białogłową, mającą piersi jak dwie ducki i twarz, która by jej prawo należenia do rodu Baroncich dać mogła. Oblicze to było dymem okop-cone, świecące się od potu i tłuszczów. Jak sęp, który na padlinę się rzuca, wypadł Guccio z komnaty, zapominając o rzeczach brata Cipolla i o świecie całym. Wszedłszy do kuch-ni, siadł koło komina, chociaż był to sierpień, i począł rozprawiać z kucharką, która imię Nuty nosiła. Powiedział jej, że ma szlachectwo, dokumentem pergaminowym stwierdzo-ne, a także posiada więcej niż dziewięć tysięcy florenów, nie licząc tych, które ludziom jest winien, a których zebrałoby się niemało, i że wszystko zrobić i wypowiedzieć potrafi, co tylko komu się przysni. Nie zważając na swój kapelusz, tak brudny i zatłuszczony, że tłuszczu tego starczyłoby na wielki kocioł zupy dla ubogich w klasztorze Altopascio, na swój kaftan podarty, pokryty łatami i przesycony potem pod pachami, kaftan, tyłoma kolorowymi plamami zasiany, iż żadna tatarska lub indyjska materia nigdy by w para-gon<sup>55</sup> z nim wchodzić nie mogła, na swoje dziurawe pończochy i zdarte buty, mówił z dziewczyną w ten sposób, jakby był panem na zamku Châtillon. Obiecywał jej, że ją oporządzi, przystroi i uwolni od przymusu służenia u obcych ludzi. A chociaż ona nic nie posiada, dawał jej nadzieję na znaczną losu poprawę. Mówił jeszcze o wielu rzeczach z wielką w swoje słowa wiarą, aliści<sup>56</sup> wszystkie jego przedstawienia a obietnice na wiatr szły i w nic się obracały, jak to się mu zwykle zresztą zdarzało.

Dwaj młodzi żartownisie zastali tedy<sup>57</sup> Guccia uwijającego się koło Nuty. Niezmier-nie ukontentowani z tak pomyślnego obrotu rzeczy, który odejmował im połowę trudu, nie wchodząc z nim w dyskurs, pośpieszyli do komnaty brata Cipolla, stojącej otworem. Pierwszą rzeczą, którą pochwycili, była torba mnicha, podejrzewali bowiem, że w niej cu-downe pióro znajdować się może. W samej rzeczy znaleźli je w puzderku owiniętym po kilkakroć w zwój tkaniny. Było to pióro wyrwane z ogona papugi. Lud mógłby być uwie-ryżyć w słowa brata Cipolla, bowiem podówczas różne egipskie zbytki a wymysły, które później na znaczną szkodę naszą w całej Italii się rozpowszechniły, jeszcze głębiej do To-skanii nie przeniknęły. A chociaż nawet tu i ówdzie słabe doszły o nich słuchy, to w tych stronach pozostały prawie że nieznanne mieszkańcom. Trwała tam jeszcze zbożna prostota dawnych czasów i ludzie nie tylko nie oglądali nigdy papugi, ale nawet o niej nie zasły-szeli. Dwaj krotochwilnicy<sup>58</sup>, uradowani, że znaleźli pióro, wzięli je ze sobą, a w zamian

<sup>52</sup>*krotochwilny* (daw.) — żartobliwy, zabawny, wesoły. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*zasię* (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*respon*s (z łac., daw.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*w paragon wchodzić* (daw.) — iść w zawody; dorównywać komuś. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*aliści* (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*krotochwilnik* (daw.) — żartowniś, wesołek. [przypis edytorski]

napełnili puzdro węglami, które w kącie komnaty na ziemi ujrzeni. Po czym zamknęli je, przywiedli wszystko do pierwotnego stanu i niepostrzeżeni przez nikogo, powrócili ze zdobyczą do domu, gdzie jęli czekać niecierpliwie, jak się wykręci brat Cipolla znalazłszy węgle zamiast pióra.

Tymczasem mężczyźni i białogłowy, ludzie prości, dowiedziawszy się w kościele, że o trzeciej po południu pióro archanioła Gabriela zobaczą, powrócili po skończonej mszy do domów i wiadomość o relikwii roznieśli między kumów, kumoszki i sąsiadów. Na skutek tego po obiedzie zbiegła się do kościoła taka ciżba ludu, że nawa świątyni pomieścić jej nie mogła. Wszyscy gorzeli pragnieniem obaczenia cudownego pióra.

Brat Cipolla, podjadłszy sobie należycie i przespawszy się nieco, podniósł się po godzinie trzeciej z łoża. Na wieść, że wielka ćma ludu wiejskiego już czeka na ujrzanie pióra archanioła Gabriela, posłał po Guccia, żeby przyszedł tam z dzwonekami i przyniósł sakwę. Guccio z wielkim trudem od kuchni i Nuty się oderwał, po czym z dzwonekami i torbą powłókł się w górę ku kościołowi, stękając i sapiąc, bowiem wypita woda brzuch mu rozdymała. Stanąwszy przed głównymi drzwiami, zgodnie z rozkazem brata Cipolli, jął<sup>59</sup> gwałtownie dzwonić. Po kilku chwilach brat Cipolla, widząc, że już dosyć ludu napłynęło, nie zauważwszy, że ktoś dobrał się do jego tobołków, przystąpił do kazania, w którym wypowiedział wiele rzeczy, stosujących się do mającego nastąpić widowiska. Wreszcie, gdy odpowiednia chwila nastąpiła, odmówił jeszcze z wielkim namaszczeniem *Confiteor*, po czym rozkazał dwie świece woskowe zapalić, zdjął kaptur z głowy, odwinął powoli jedwabną tkaninę i wydobyl puzdro. Co uczyniwszy, wypowiedział jeszcze kilka słów wychwalających archanioła Gabriela i relikwię świętą, którą trzymał w ręku, wreszcie puzdro otworzył.

Ujrzawszy w nim węgle zamiast pióra, brat Cipolla nie pomyślał ani na chwilę, aby to miała być sprawka Guccia, wiedział bowiem dobrze, że nie miałby on dosyć sprytu potrzebnego na wyplatanie podobnego figla. Nie przeklinał go nawet w duszy za to, że tak źle strzegł powierzonych mu rzeczy, natomiast samemu sobie po cichu gorzkie czynił wyrzuty, że znając przymioty Guccia, tak drogocenną rzecz pod straż mu oddał. Cóż było jednak czynić! Brat Cipolla, przytomności umysłu nie tracąc i nie dając najmniejszej poznać po sobie, że go przykra niespodzianka spotkała, podniósł wzrok i ręce ku niebu i zawołał tak głośno, że go wszyscy przytomni usłyszeć musieli:

— O Boże! Wszchemocy Twojej niechaj chwała będzie na wieki! — Po czym zamknął puzdro i rzekł, zwracając się do ludu: — Trzeba wam wiedzieć, najmilsi, że już dawno temu, jeszcze w latach młodości mojej, byłem wysłany przez zwierzchność moją do krajów, gdzie słońce wschodzi. Zlecono mi tak długo szukać, aż odnajdę nadania dla szpitala Św. Filipa z Porcelany. Dla osiągnięcia tego celu, puściłem się w drogę z Wenecji. Przebyłem przedmieście Grecję i stąd konno przez królestwo Algarbii, Bagdad i Parion dojechałem wreszcie do Sardynii, umierając już prawie z pragnienia. Aliści po cóż mam wam wymieniać wszystkie kraje, które poznałem? Dosyć będzie, jeżeli powiem, że minąwszy Cieśninę Świętego Jerzego, przejechałem przez Ziemię Kłamliwą i Ziemię Szalbierczą, gęsto zamieszkałe przez liczne narody. Później przebywałem w kraju Łgarzy, gdzie napotkałem wielu zakonnych braci moich, a także mnichów innej reguły, unikających pracy dla miłości Boga i nie troskających się o nic, chyba tylko o korzyść własną. Winniście wiedzieć, że w tych krajach tylko fałszywe pieniądze walor swój mają. Później dotarłem do Abruzzów, krainy górzystej, w której mężczyźni i białogłowy w drewnianych sandałach na skały się wspinają i mają zwyczaj świnie ich własnymi kielbasami stroić. W niewielkiej odległości od tego kraju natrafiłem na ludzi, noszących chleb nadziany na tyczki, a wino w workach. Dalej droga wiodła mnie przez Robacze Góry, gdzie wszystkie wody w górę płyną. Tak daleko w głąb kraju się zapuściłem, że wkrótce dotarłem do Indyj Pasternackich, gdzie — przysięgam wam na mój habit — widziałem kozy po powietrzu latające. Rzecz to niepodobna do wiary, a jednakże potwierdzić ją może Maso del Saggio, kupiec znakomity, którego spotkałem tam tłukącego orzechy i sprzedającego lupiny na łokcie. Nigdzie jednak znaleźć nie mogłem tego, czegom właściwie szukał, a że dalej trzeba już płynąć wodą, więc puściłem się w drogę powrotną i przybyłem do tego błogosławionego kraju, gdzie bochenek czerstwego chleba w lecie cztery szelągi kosztuje, a świeży za

<sup>59</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

darmo dają. Tam napotkałem czcigodnego ojca Dajmipokój Jeżelilaska, przewielebnego patriarchę jerozolimskiego, który przez cześć osobliwą dla sukienki świętego Antoniego, jaką ujrzał na mnie, pokazał mi wszystkie posiadane przez się relikwie. Było ich tak wiele, że gdybym je chciał wyczytać, i przez rok bym nie skończył. Abyście jednak w pobożnej ciekawości swojej zawodu nie doznali, wymienię niektóre z nich. Naprzód tedy<sup>60</sup> pokazał mi palec Świętego Ducha, nietknięty całkiem, dalej kędzior Serafina, który to anioł świętemu Franciszkowi się objawił, paznokieć Cherubina, jedno z żeber Słowa Stałosię, kilka strzępów z szaty świętej Wiary, parę promieni z gwiazdy, która trzech Magów do Betlejem prowadziła, czarę z potem wylanym przez św. Michała w czasie walki jego z szatanem, szczękę śmierci, która zmoęła Łazarza, i siła<sup>61</sup> innych jeszcze świętości. Ponieważ wielce uprzejmym się dla niego okazałem, obdarzywszy go kilku stronami *Góry Morello* w włoskim przekładzie, a także paroma rozdziałami Kaprecjusza, których od dawna już szukał, darował mi tedy w zamian jeden z zębów krzyża świętego, a dalej w małym słoiku zamknięte dźwięki dzwonów świątyni Salomona, pióro archanioła Gabriela, o którym wam już wspominałem, a także chodak św. Gherarda z Villamagna, którą to ostatnią relikwią obdarzyłem niedawno pana Gherarda di Bonsi z Florencji przez wzgląd na osobliwą cześć jego dla swego patrona. Na koniec podarował mi jeszcze patriarcha jerozolimski kilka z owych węgli, na których wielki męczennik, św. Wawrzyniec, upieczony został.

Wszystkie te drogocenne szczątki przy sobie noszę, a i teraz mam je tutaj, do kupy zebrane. Jednocześnie przeor mój nie pozwolił mi pokazywać ich do tej pory, aż się przekona o ich prawdziwości. Obecnie właśnie dostateczne się znalazły dowody, bądź w listach patriarchy, bądź też w cudach sprawionych przez same relikwie, tak iż pozyskałem prawo pokazywania ich nabożnemu ludowi. Przez troskliwość chowam każdą z tych świętości w oddzielnych puzdrach i szkatułach. Dwa z tych puzder, w których się mieszczą węgle św. Wawrzyńca i pióro archanioła Gabriela tak są podobne do siebie, że często jedno za drugie biorę, co nawet i dzisiaj mi się przytrafiło. W przekonaniu, że to puzderko z piórem, przyniosłem puzderko z węglami. Nie uważam tego jednak za dzieło przypadku, ale za zrządzenie Opatrzności boskiej, która mi tym sposobem chce przypomnieć, iż za dwa dni uroczystość św. Wawrzyńca przypada. Bóg pragnie, abym widokiem tych węgli, które sos, płynący z pieczonego ciała św. Wawrzyńca, ugasił, gorącą cześć w sercach waszych dla męczennika zapalił.

Odkryjcie tedy głowy, dzieci moje, i przystąpcie bliżej, aby z czcią i z trwogą świętą tym węglom się przyjrzeć. Pierwej jednak dowiedzcie się jeszcze, że kto jednym z tych węgli w kształt krzyża naznaczony zostanie, tego przez cały rok niniejszy żaden ogień nie tknie, by tego nie poczuł.

Rzekłszy te słowa, brat Cipolla zaśpiewał pieśń na cześć św. Wawrzyńca, a potem otworzył puzdro i węgle z niego wyjął. Na ten widok otumaniony tłum zatrzymał się, pobożną czcią zdjęty, wnet jednak wszyscy, depcząc się i dusząc wzajemnie, rzucili się ku mnichowi. Kładąc większą niż zwykle ofiarę, każdy prosił o dotknięcie i naznaczenie węglem świętym. Wówczas brat Cipolla wziął węgiel do rąk i jał<sup>62</sup> kreślić mężczyznom i kobietom na białych kaftanach, sukniach i zasłonach tak wielkie krzyże, jakie się tylko tam pomieścić mogły. Zaręczał przy tym ludowi, że węgle, na kreślenie krzyży użyte, z powrotem w szkatule odrastają.

Takim oto sposobem brat Cipolla mieszkańców Certalda, nie bez wielkiego dla siebie pożytku, w krzyżowych rycerzy zamienił i zakpił z tych, którzy mniemali, że pozbawiając go pióra, zakpić z niego zdołają. Dwaj krotochwilnicy<sup>63</sup>, kazaniu jego przytomni<sup>64</sup>, ujrawszy, jak się dzięki chytrej sztuczce z trudnego położenia wydobył i jak daleko w tym celu słowami okrążyć musiał, tak się śmiać poczęli, że o mały włos ze śmiechu się nie rozpukli. Gdy tłum się rozszedł, podbiegli do brata Cipolli, odkryli mu winę swoją i wśród wybuchów głośniejszej wesołości zabrane pióro mu zwrócili. Po roku przyniosło ono mnichowi nie mniej pożytku niż w tym przypadku węgle świętego Wawrzyńca”.

<sup>60</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>siła (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>jał (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>krotochwilnik (daw.) — żartowniś, wesołek. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>przytomny czemu — obecny przy czym. [przypis edytorski]

Opowieść Dionea całemu towarzystwu osobliwe ukontentowanie sprawiła. Wszyscy śmieli się serdecznie z brata Cipolli, osobliwie zasię<sup>65</sup> z jego relikwii i pielgrzymek. Wreszcie królowa ciszę nakazała, podniosła się i zdjawszy ze swej głowy wieniec wawrzynowy, włożyła go z uśmiechem na głowę Dionea:

— Czas już, Dioneo — rzekła — abys i ty się nauczył, jak ciężko jest białogłowa-  
mi rządzić i kierować. Bądź więc królem i panuj tak, abyśmy cię przy końcu panowania  
pochwalić mogły.

Dioneo przyjął koronę, śmiejąc się i rzekł:

— Znakomitszych ode mnie królów nieraz już widzieć mogliście, że wspomnę tu  
tylko o królach szachowych. Gdybyście mi jednak posłuszeństwo przyrzekły, prawdzi-  
wemu królowi należne, obdarzyłbym was takimi rozkoszami, bez których żadna uciecha  
całkowita nie jest. Ale dajmy temu pokój. Przyrzekam, że będę rządził, jak potrafię, naj-  
lepiej.

Rzekłszy te słowa, zgodnie z obyczajem poprzedników, rozkazał przywołać marszałka  
i udzielił mu rozkazów na cały czas trwania swej władzy. Po czym tak się odezwał:

— Wielce czcigodne damy! Na różne sposoby mówiliśmy już o ludzkiej zmyślności  
i o rozlicznych losu przypadkach, tak że gdyby nie Liciska i nie sprzeczka jej poranna  
z Tindarem, która mi nasunęła to, o czym jutro mówić nam przyjdzie, zaiste byłbym  
w kłopotcie, jaką materię do nowych opowieści wam podać. Jakeście słyszały, twierdziła  
ona, iż żadna z jej znajomych dziewictwa swego do małżeńskiego łoża nie doniosła; potem  
dodała, że wie wybornie, jak liczne i sprytne figle żony mężom swoim platają. Ostawiając  
na stronie pierwszą część tej materii, która o rzeczach dziecinnych powiada, mniemam,  
że z drugiej siła<sup>66</sup> ciekawych i krotochwilnych<sup>67</sup> zdarzeń wydobyć będzie można. Wołają  
moją jest tedy<sup>68</sup>, abyśmy jutro opowiadali o chytrych sztuczkach i fortelach, jakich żony  
w stosunku do mężów swoich użyły, czy to z miłości, czy dla ratowania siebie samych,  
i to tak, że oni spostrzegli to albo i nie.

Niektóre z dam rzekły, iż nie wydaje im się rzeczą obyczajną o podobnych historiach  
rozprawiać, dlatego tedy poprosiły króla, aby inną materię wynalazł. Aliści król odparł:

— Łaskawe damy! Wiem równie dobrze jak wy, jaką materię do opowieści wybra-  
łem, nie zdołacie mnie jednak skłonić do odmienienia jej, to bowiem przekonanie żywię,  
że w okolicznościach, w jakich obecnie się znajdujemy, możemy dać całkowitą swobodę  
słowom, bylebyśmy tylko, mężczyźni i kobiety, baczyli na czyny nasze. Zali nie wiecie,  
że dzięki złu, które się dziś szerzy, sędziowie trybunały opuścili? Boskie i ludzkie prawa  
milczą i każdemu człekowi jest ostawiona całkowita swoboda troszczenia się o ochro-  
nę własnego życia. Przeto jeżeli dla zbawienia siebie i innych, a nie dlatego bynajmniej,  
aby od swobodnych słów do swobodnych czynów przechodzić, nieco mniej surowymi  
się okażecie w wyborze opowieści, któż będzie miał prawo za to was naganiać? Towarzy-  
stwo nasze od chwili swego powstania aż dotąd nigdy obrębów najściślejszej przystojności  
nie przekroczyło, cokolwiek byśmy sobie tu opowiadali. Żywię nadzieję, że w przyszło-  
ści także przeciw przykazaniom obyczajności nie zgrzeszymy. Komuż to cnota wasza jest  
nieznana? Powszechnie wiadomo, że nie zachwieje jej nie tylko swoboda opowieści, ale  
nawet trwoga przed śmiercią. Powiem wam także, że gdybyście się wzbraniały w takich  
opowieściach udział przyjąć, mógłby ktoś zacząć podejrzewać, że winnymi podobnych  
figlów się czujecie, i dlatego słuchać i mówić o nich nie chcecie. Wreszcie wyznam, że  
niezbyt to zaszczytne dla mnie być wybranym przez was na króla, mieć nadane sobie  
prawa, wydawać rozkazy i trafiać na opór z waszej strony, gdy ja sam poprzednio byłem  
wszystkim posłuszny. Dajcie więc pokój obawom, które raczej niższym duszom niż wa-  
sze przystoją, i pomyślcie o wynalezieniu najciekawszych na dzień jutrzejszy opowieści,  
w czym niechaj szczęście wam sprzyja.

Damy uległy wreszcie temu przedstawieniu i zgodziły się na żądanie Dionea. Wówczas  
król do wieczery dał wszystkim wolę czynienia tego, co się im podobać będzie. Słońce  
stało jeszcze wysoko na niebie, ponieważ opowieści tego dnia krótko trwały. Dioneo

<sup>65</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>siła (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>krotochwilny (daw.) — wesoły, zabawny. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

z innymi młodzieńcami zasiadł do szachów, a Eliza, odwoławszy damy na stronę, rzekła do nich:

— Dawno już, bo od czasu gdy się tu znajdujemy, chciałam zaprowadzić was w jedno miejsce, niedaleko stąd leżące. Zdaje mi się, że żadna z was dotąd tam nie była. Miejsce to Panieńską Doliną się zowie. Otóż dzisiaj czas i sposobność się nadarza, jak nigdy dotąd. Słońce jeszcze wysoko na niebie stoi. Jeśli zechcecie, udamy się tam, a pewna jestem, że tej przechadzki żałować nie będziecie.

Damy przystały jak najchętniej. Nie mówiąc ni słowa mężczyznom, w towarzystwie jednej tylko służki w drogę się wybrały. Przeszedłszy nie więcej niż milę, dotarły do Panieńskiej Doliny. U wejścia powitał ich szumem swoim jasny strumyk, płynący wzdłuż wąskiej ścieżki. Miejsce wydało im się wielce pięknym, a o tej porze dnia i przy panującym skwarze przyjemnym nad wyraz. Damy mówiły mi później, że dolina jest tak okrągła, jakby cyrklem ją wykreślono, chociaż z łatwością poznać można, że jest to twór przyrody, a nie dzieło rąk ludzkich. Okrąg jej wynosił więcej niż pół mili. Wokół wznosiło się sześć pagórków nieznaczej wysokości, każdy z willą na szczycie, pięknemu zamkowi podobną. Spadki tych pagórków tworzyły schody, idące ku dolinie od wierzchołka aż do płaszczyzny, niby w amfiteatrze, tak iż szerokość stopni ku górze coraz się zmniejszała. Stoki pagórków od strony południa porośnięte były winogradem, oliwkami, drzewami migdałowymi, wiśniami, figami i innymi jeszcze drzewami owocowymi, i to tak gęsto, że piędzi pustej ziemi znaleźć by nie można było. Spadki zaś, spoglądające na wielką niedźwiedzicę, zieleniły się młodym zagajem dębów, jesionów i innych drzew wyniosłych. W samej dolinie, do której tylko jedno wejście prowadziło, rosły jodły, cyprysy, laury i kilka pinii w tak malowniczych grupach, jakby je umyślnie dla ozdoby ręka mistrza tu zasadziła. Przez ten dach rozlicznej zieleni słońce przebić się nie mogło, rzucając z trudnością tylko kilka promieni na ziemię, która stanowiła tu jedną łąkę, pokrytą aksamitną trawą i kwiatami purpurowej, a także i innej barwy. Niemało uciechy sprawiał także strumyk, wypływający z dolinki, dwa z tych pagórków rozdzielającej. Rozbijał się on o skały, miły szmer dla ucha sprawując i bryzgając kroplami, które z daleka wyglądały jak żywe srebro z czegoś wyciskane. Ten sam strumyk płynął przez dolinę już równym korytem, tworząc w jej środku staw, nie większy od basenu, jaki mieszkańcy miast popolicie w ogrodach swych urządają. Głębokość tego stawu nieznaczną była, bowiem woda do piersi dorosłemu człękowi dostawała. Przezroczystość tej wody, niczym niezamąconej, dozwalała ujrzeć na dnie żwir, złożony z drobnych, różnobarwnych kamyczków, które zadawszy sobie trudu, zliczyć by było można. Patrząc w wodę, widziało się nie tylko dno stawu, ale i ryby przemykające się po kryształowej głębi, że rozkosz łączyła się u widza z zachwytem. Łąka, tym zieleńsza, im bliższa stawu, który jej wilgotności używał, pokrywała brzegi strumyka. Wody, które się w stawie pomieścić nie mogły, spływały z dolinki innym korytem w miejsca niżej położone.

Młode damy, rozejrzawszy się dokoła, nie mogły się dość nachwalić piękności tego zakątka. Tymczasem skwar się czynił coraz większy. Damy, skuszone widokiem stawu i nieobawiające się przy tym, aby je ktoś w tym miejscu podpatrzeć zdołał, postanowiły, nie mieszkając<sup>69</sup>, kąpieli zażyć.

Przykazawszy tedy służce stanąć na drodze, po której przyszły, i patrzeć, aby ich ktoś zniemacka nie zaskoczył, siedem dziewczeczek rozebrało się i do wody wstąpiło. Kryształowa fala osłoniła ich jasne ciała tylko o tyle, o ile kielich szklany różę, zanurzoną w nim, osłania. Czystość stawu ani na chwilę ruchami ciał zamącona nie została. Damy ścigały pluskające rybki i siliły się schwytać je rękami, a one z trudem ukryć się starały. W samej rzeczy udało się im pochwytać kilka, co wywołało głośną radość między nimi. Po długich w wodzie igraszkach wyszły na brzeg i odziały się, po czym, widząc, że czas już do domu powracać, rześwe i wesołe, wolnym krokiem w powrotną drogę się udały, mówiąc ciągle o piękności tego zakątka, którego nachwalić się nie mogły. Przybywszy do pałacu ujrzały młodzieńców jeszcze ciągle grających w szachy zajętych. Pampinea, śmiejąc się, rzekła do nich:

— Oszukałyśmy was dzisiaj!

<sup>69</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

— Jak to! — zawołał Dioneo — zali<sup>70</sup> najpierw poczynacie to robić, o czym opowiadać macie?

— Jako żywo! — odparła Pampinea i zaczęła opowiadać o miejscu, skąd powróciły, i o tym, co tam robiły. Król, usłyszawszy o piękności doliny, zapłonął chęcią obaczenia jej i rozkazał co prędzej wieczerzę podawać. Po wieczerzy, która wszystkim przypadła do smaku, trzech młodzieńcy ze sługami swymi, opuściwszy damy, do Panieńskiej Doliny się udali. Widok doliny, dotychczas im nieznaney, podobne jak i na damach wrażenie na nich wywarł. Jednogłośnie uznali to miejsce za jedno z najpiękniejszych w świecie. Wykąpawszy się i odziewszy się z powrotem, wrócili do domu, bowiem pora już późna była. Tu obaczyli damy, w korowodzie płaszące pod dźwięk pieśni Fiammetty. Zaczekawszy, aż skończą, zdali pięknym tancerkom sprawę ze swych spostrzeżeń i gorąco dolinę wychwalali. Po czym król przywołał marszałka i przykazał mu, aby nazajutrz rano zanie-siono do doliny tej wszystkie niezbędne rzeczy, a także i pościel, na przypadek, gdyby w południowej porze przyszła komuś ochota snu lub spoczynku tam zażyć. Po odejściu marszałka przyniesiono światła, wino i słodycze. Król wezwał towarzystwo do pokrzepienia się, a następnie do tańca. Panfilo otrzymał rozkaz zawiedzenia tańca. Król, obróciwszy się do Elizy, rzekł w te słowa:

— Obdarzyłaś mnie dzisiaj koroną, piękna pani, ja zasię<sup>71</sup> w tej chwili przewodnictwo nad pieśniami ci daję. Zaśpiewaj nam więc jakąś, która ci najbardziej do gustu przypada.

Eliza, wdzięcznie się uśmiechając, odparła, że zaśpiewa z radością. Jakoż w samej rzeczy taką pieśń zaśpiewała:

— Jeśli rozerwę dziś twe sieci zradne,  
Amorze, jestem pewna,  
Że już przenigdy w władzę twą nie wpadnę.

Dzieckiem już krew ci oddałam i ciało,  
Myśląc, że szczęście rzucisz z hojnej dłoni.  
Byłam jak jagnię, które się nie broni,  
Z ufnością wełnę oddające białą.  
Srogoś mi spłacił tę ufność zuchwałą!  
I w czyją mnie to podałeś niewolę?...  
W tyrana władzę, co mych lez niebaczny,  
Co dzień jęk ze mnie wydiera rozpaczny  
I kląć mi każe nędzną moją dolę.  
Próżne lzy jawne, próżne skryte bole!  
Cierpienie, które siły moje kruszy,  
Nie zdoła zmiękczyć jego twardej duszy.

Na wiatr idą skargi moje mnogie,  
On na nie głuchy, jak głąz głuchy na nie!  
Już mnie opuszcza siła i wytrwanie.  
Życie mi cięży — a umrzeć nie mogę!  
O Panie, wejdźże w życia mego drogę  
I daj, co w mocy Twej leży jedynie,  
Niech i on dla mnie trawi się i ginie!

Lub jeśli Twojej sprzeciwi się chęci  
Złączyć nas słodkiej namiętności siłą,  
Chciej wreszcie zerwać tę spółkę niemiłą,  
Wydrzej<sup>72</sup> go z mojej myśli i pamięci;  
Niech nowy powab duszę moją znęci,  
A na mej twarzy z radosną godziną  
Róże i lilie wówczas się rozwiną.

<sup>70</sup>zali (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>wydrzej — dziś popr.: wydrzyj. [przypis edytorski]

Eliza głębokim westchnieniem piosenkę swoją skończyła. Wszyscy dziwili się jej treści i odgadnąć nie mogli, jakie przyczyny Elizę do odśpiewania jej pobudziły. Po czym król, pełen beztroski, polecił Tindarowi przynieść kobzę i dał towarzystwu znak do tańca. Długo trwała taneczna ochota, tak długo, że już późną nocą przykazał, by wszyscy na spoczynek się udali.

*Kończy się szósty dzień Dekameronu i zaczyna siódmy, w ciągu którego, pod przewodem Dionea, opowiada się o tym, jak to różne białogłowy figle mężom swoim płatały albo z miłości, albo też chcąc się z opałów wydobyć, oni zasię połapali się na tym lub też nie.*

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dekameron-dzien-szosty>

Tekst opracowany na podstawie: Giovanni Boccaccio, Dekameron, tłum. Edward Boyé, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1975.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Aleksandrę Sekułę. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Paulina Oltusek, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: [Woman .., Trang Angels@Flickr](#), CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).